

Żałuję Beksińskiego

Budzik dzwoni o 6.01. Ta minuta to złuda dodatkowego odpoczynku. Nie muszę wstawać o szóstej, zdążam do świata od siódmej, przełamując swoją niechęć jak pieczęć. Niechęć do świata. Wiem, że nie mogę wpływać na jego losy, ale wiem też o kropli drażącej skałę. I to mnie martwi – nie chcę być kroplą, chcę być deszczem. W sypialni mam kopię obrazu Beksińskiego. Tę z ludźmi siedzącymi wokół ognisk na płaskich szczytach wysokich gór. W mojej wyobraźni oni czekają na powrót utraconych uczuć. Wtedy zechcą ponownie znaleźć do siebie drogę.

Niepielegnowane uczucia odeszły. Wydaje mi się, że znalazły sobie miejsce na pozostałych obrazach Zdzisława Beksińskiego. Przyczaiły się tam jak złężnione dzieci, oczekujące uwagi i zrozumienia, nade wszystko zaś akceptacji. Nie chcą być osamotnione, pragną kogoś, kto się nimi zajmie. Kogoś, kto pozwoli im poczuć się potrzebnymi. Swoich rodziców – instynktów.

Ludzie w swoim pędzie donikąd zaniedbują się wzajemnie. Miłość, przyjaźń, empatia, współczucie, miłosierdzie, gniew, złość, pogarda, nawet apatia zerkają na widza z obrazów namalowanych przez Beksińskiego. Ukryte w formach, kolorach, sytuacjach. Chcą, żeby je dostrzec. Czasem szepczą, innym razem wołają lub krzyczą. Swoją nienachalną ekspresją zmuszają nas do zatrzymania się w tym pędzie. I instynktownego dostrzeżenia uczuć.

Malarstwo Mistrza Beksińskiego pozwala mi pamiętać o czasie i przemijaniu. Czasem siedząc w jesiennym parku widzę kogoś, kto odszedł już dawno. Czy aby na pewno? Dopóki pamięć odtwarza czyjś ważny dla nas wizerunek, dopóty ten ktoś jest obecny w naszej świadomości. Nie jest to odkrywcze stwierdzenie. Powiada się, iż ludzie istnieją na kartach książek, dokumentów, fotografii, obrazów. To również prawda, ale Beksiński swoimi obrazami otwiera mi te najbardziej zakurzone szuflady umysłu. Być może w trakcie tworzenia kolejnych dzieł, Mistrz sam inspirował się własnymi wspomnieniami.

Oglądam obrazy w telewizji, obserwuję rzeczywistość z poziomu własnej głowy – może powinienem czasem przykucnąć lub podskoczyć? A może powinienem przy kimś przystanąć, zagadnąć, ewentualnie pobiec na przeciw komuś, albo za kimś? Interakcja jest niezbędna, by kogoś poznać, zrozumieć. Beksiński daje mi tę wolność interpretacji swoich nienazwanych dzieł, dzięki której zanim się odwrócę i odejdę obojętnie, mogę zechcieć zrobić coś zupełnie innego, mogę chcieć polubić, zrozumieć, mogę nawet pokochać. Mogę.

To są te uczucia potrzebne nam do akceptacji, która pozwala pozbyć się uprzedzeń. Nie tylko do sztuki Mistrza, także do ludzi.

Zdzisław Beksiński nie chciał być duszą towarzystwa. On mógł nią być. Zamiast brylować werbalnie, wolał przemawiać obrazem. Jego obrazy nikogo nie oceniały i nie wdawały się w dyskusje, które mogły prowadzić do forsowania przez rozmówcę swojego punktu widzenia. Beksiński nie chciał nic perswadować, wolał wolność interpretacji. Ta właśnie wolność stanowi największy grzech Mistrza, pozostawił bowiem ogromne puste pole do uprawy ignorantom i ludziom bez wyobraźni, lub co gorsza, z wyobraźnią mieszkającą w małej przestrzeni, przez co w tę samą, małą przestrzeń, właczają wszystkie obejrzone obrazy Beksińskiego. Na skutek takiego „magazynowania” sztuki Zdzisława Beksińskiego ulega ona degradacji o wiele większej, niż kiedyś w wyniku wilgoci panującej w pracowni Mistrza. Ztraca tam swą duszę.

Martwi mnie to ogromnie.

Beksiński obywatel denerwuje się w czasach głębokiego PRL-u na urząd podatkowy. Nie chce płacić haraczu za swój talent. Nie chce także budować socjalizmu w zakładzie pracy. Funkcja jaką pełni, będąc trybikiem komunistycznej Polski, skutecznie gasi w nim pragnienie tworzenia rzeczy awangardowych. Projektując nadwozia aut w Sanockiej Fabryce Autobusów doświadcza nie tylko niezrozumienia, ale i drwin. Poddaje się i nie bez perturbacji opuszcza na zawsze socjalistyczną gospodarkę.

Beksiński obywatel IV RP nadal zżyma się na fiskusa, chociaż zarabia znacznie powyżej przeciętnej. Mógłby podróżować, nabyć drogie auto, kłuć sąsiadów w oczy dobrobytem. Jest jednak jako artysta do tego stopnia skoncentrowany na sztuce, że luksusowe przedmioty w przeważającej mierze służą mu do rozwoju własnych talentów.

Zdzisław Beksiński sąsiad, obywatel, człowiek, nikogo nie absorbuje swoją osobą. Właściwie nie wchodzi w interakcję z najbliższym otoczeniem, jest jak Jan Kowalski, który tylko odpowiada lub nie, dzień dobry.

Zdzisław Beksiński artysta, wznieca w umysłach odbiorców swojej sztuki ogień, który spala im umysły w poszukiwaniu właściwego klucza dostępu do swoich dzieł.

Klucza, który przecież nie istnieje.

Dariusz Żyła